

Elza Pintus

Moje prawdziwe przeżycia - Meine wahre Erlebnisse

Jak wiadomo, wojna rozpoczęła się 1 września 1939 r. Do Kartuz ściągnęło wiele wojska, panował wielki niepokój. Rozniosły się plotki, że Kartuzy jako część frontu mają ewakuować itd. Trzeciego września zauważyliśmy szczególne poruszenie wśród wojskowych. Ciężarówki z żołnierzami przejeżdżały raz po raz, a to szosą na Bytów, to znów na Lębork. Nie wiadomo było zupełnie, co się dzieje. Wtedy też nad miastem zaczęły nisko krążyć samoloty. Oczywiście przyjęliśmy, że to polskie samoloty. A tu widzimy, jak żołnierze szukają osłony i zaczynają je ostrzeliwać. Załogi maszyn śmieją się i machają rękami.

4 września zrobiło się szczególnie niespokojnie. Ulica Jeziorna była celem ataku. Ludzie stamtąd uciekali, my zaś poszliśmy wtedy do Rabowów. Od nich można było lepiej obserwować całe to zamieszanie. Koło południa wyruszyło polskie wojsko na samochodach, rowerach, pieszo, wszyscy spieszyli w stronę Wzgórza Sądowego. W

minutę drogi opustoszały, ani śladu człowieka, podczas gdy chwilę wcześniej masy podenerwowanych ludzi podążały w obydwu kierunkach. Całe Kartuzy wstrzymały oddech. Koło drugiej zjawili się pierwsi niemieccy żołnierze, wślizgnęli się jak koty pod osłoną murów, a potem to było już ich coraz więcej. W ciągu godziny zaroilo się w Kartuzach od niemieckich żołnierzy. Jak myśmy się czuli, możecie pewnie sobie wyobrazić. Wtedy też w oknach pokazały się pierwsze flagi ze swastyką. Skąd ci ludzie mieli je już od pierwszego dnia, pozostaje dla nas zagadką. Koło wieczora ulice były już znowu pełne cywilów. I wtedy poszliśmy z Heinzem do domu. Heinz nie chciał, abym spała w pokoju od ulicy, więc położyłam się w jego pokoju na fotelu. O uśnięciu nie było mowy. Całą noc bez przerwy do miasta wchodziło wojsko. Gdzieś około drugiej ostry strzał w pobliżu. Bardzo się zdenerwowałam. Heinz uspokajał mnie. „Może to jakiś sygnał, rakietą świetlna albo coś w tym rodzaju!„. Wydawało się jednak, że usłyszałam jakiś krzyk. Następnego rana dowiedzieliśmy się, że zastrzelono siedemnastoletniego chłopca, który wracał skądś do domu na bosaka, niosąc buty w rękę. Ponoć stanowił zagrożenie dla niemieckiego wojska. Cała dywizja czuła się zagrożona ze strony tego biednego chłopca?. Ale żołnierze raz po raz dawali o sobie znać, że niby to Kartuzy stanęły do obrony, że niby zaatakowano niemieckie wojsko.

W następnych dniach w mieście ogłoszono przez megafony, że wszystkie szyldy muszą mieć napisy po niemiecku. Heinz zmienił swój szyld, a Rabow okno wystawowe. Po południu nastąpiły przeszukiwania domów za polskimi żołnierzami. Do nas wdarli się za pomocą kolb karabinowych do pokoju na górze i zabrali wehniały koc. Jeden z żołnierzy schodził z góry wściekły, trzymając w rękę polską czapkę. Heinz mu od razu

wyjaśnił, że to czapka polskich kolejarzy. Kolejarz mieszkał tam na górze.

Następnego dnia, we wtorek, megafony na ulicach ogłosiły: „Wszyscy zajmujący się handlem i rzemiosłem mają się zameldować w urzędzie powiatowym.” Heinz poszedł razem z Rabowem, ale obydwaj szybko wrócili. Pierwsze pytanie brzmiało: „Czy są tutaj Żydzi ?” Goldberg, Rabow i Heinz zgłosili się (pozostali Żydzi zamknęli swoje interesy już wcześniej). Żydzi mieli pójść od razu do domów i zamknąć swoje sklepy. A więc zabawa rozpoczęła się!

Od żołnierzy usłyszeliśmy, że ponoć w Kościerzynie od razu rozstrzelano wszystkich Żydów. Heinz nie chciał w to uwierzyć, a może po prostu chciał mnie tylko uspokoić. Wtedy też rozpoczęły się pierwsze aresztowania w Kartuzach. Po południu usłyszeliśmy z megafonów rozkaz: „Odstawić wszystkie radioaparaty!”. Nie chciałam pozwolić, żeby Heinz szedł z tym sam, ze strachu, że mogliby go aresztować na ulicy. Heinz nie chciał znowuż mnie z tym posłać, więc zawołałam chłopca z sąsiedztwa. Pozbyliśmy się naszego pięknego nowego radia! Po południu znowuż odezwały się megafony: „Można przynieść sobie obiad z rynku”. Kto żyw poszedł czy pobiegł z kankami, misami i kubłami. Dzieci musiały ustawić się w szeregu, po czym spytano je, jak składają w domu dłonie do modlitwy. Ten moment sfilmowano i wykorzystano później w kronice tygodnia, jak to wygłodzeni mieszkańcy Kartuz zebrzą o jedzenie. Ludzie byli szczęśliwi i zachwyceni wspaniałą fasolówką ze słoniną. Podniosły się glosy: „Polaczkowie nie dawali nam nigdy jedzenia, a ci Niemcy dają nam taki wspaniały obiad. To zdarzyło się raz i nigdy więcej.

W środę popołudniu usłyszeliśmy od strony Jeziornej krzyki, strzały, rozkazy, zobaczyliśmy zbiegowisko ludzi. Ulica została zablokowana, a wszyscy mężczyźni, którzy

tam się właśnie znajdowali, zaaresztowani. Na nieszczęście kilku spróbowało uciec właśnie do nas. Co to się u nas działo! Całe mieszkanie pełne żołnierzy - wzywiska, kłębowisko, wrzaski - pomyślałam już sobie, że to nasz koniec! W międzyczasie złapano uciekinierów i powleczono razem z pozostałymi ofiarami. Na przedzie wleczono ciało tego biednego chłopca, które tak długo leżało na ulicy. Aresztowania to były również, że niby to Kartuzy stawiały opór (w osobie tego biednego chłopca!). zdenerwowaliśmy się okropnie. Heinz był mocno przygnębiony.

W czwartek aresztowano pierwszych Żydów, w tym Adolfa Rabowa. Nasze zdenerwowanie było straszne. My, tak jak i wszyscy Żydzi, nie mogliśmy ani spać, ani jeść. Wiedzieliśmy i słyszeliśmy przecież o hitlerowcach wcześniej - ale że Niemcy to takie bestie - nikt nie wierzył, że to możliwe. W piątek przed południem usłyszeliśmy, że jakiś samochód zatrzymał się u nas; ktoś zapytał: „Gdzie mieszka ten Żyd, zegarmistrz Pintus?” Ze strachu stanęło mi prawie serce. Do środka weszło sześciu żołnierzy z rewolwerami w rękę, Wszystkie szafy, przegródki kazali natychmiast otworzyć. Heinz wykonał polecenia. Następnie kazano mu usiąść na krzesło, mnie wzięło dwóch bandytów do pokoju na tyłach. Z przodu jeden zabrał się zaraz za zegary. To był fachowiec, spakował wszystkie chodzące zegary, wszystkie części ze złota i srebra. Wszystko bezwartościowe zostało. Drugi zabrał się za szafę w ścianie i zapakował całe złoto i wszystkie wartościowe rzeczy, srebrne sztucce, srebrne prezenty ślubne kochanych rodziców, zabrał zupełnie wszystko - zostawił tylko puste etui. Trzeci dobrał się do biurka (Heinz jako prezent pożegnalny otrzymał od Wilhelma Berenta, zanim jeszcze tenże wyjechał do Lugano, 50 cygar, które tamten przywiózł kiedyś z Manili. To były bardzo drogie cygara, za które wtedy, jak jeszcze guldeny

stały wysoko, cło za sztukę kosztowało guldena. Już po samym opakowaniu można było rozpoznać zawartość. Były one trzykrotnie zawinięte w opaski, w pierw folia aluminiowa, potem bibułka i na końcu pergamin. Na krótko przedtem Heinz powiedział, że mam je rozpakować, aby podczas przeszukiwania domu tak bardzo nie rzuciły się w oczy, co też i zrobiłam). Ten łajdak znalazł je i spakował z komentarzem, że oddział będzie je umiał lepiej spożytkować niż on. A potem powiedział: „W biurku musi być skrytka. Niech Pan otwiera!”. Heinz otworzył. Na szczęście krótko przedtem rzuciłam tam okiem. Heinz przechowywał tam kilka interesujących artykułów z gazet zakazanych w Niemczech, które udało mi się w ostatniej chwili spalić. Gdyby tamci je znaleźli, byłibyśmy z miejsca załatwieni. Ten łajdak powiedział, że gdyby Heinz nie otworzył mu biurka, to by go zatłukł. W międzyczasie tamci dwaj zawlekli mnie do pokoju z tyłu. Jakaś gruba świnia wgniotła mnie w kąt przy piecu, trzymając mi broń pod nosem, wypytywał mnie, czy jestem stuprocentową Żydówką, czy oboje rodzice i dziadkowie z obojga stron byli Żydami. Potem zaczął mi grozić bronią, że mam powiedzieć – wyjątkowo - prawdę, gdzie są pieniądze. Odpowiedziałam, że nie wiem o żadnych pieniądzech. Groził mi znów bronią, że jeszcze mam czas, że daje mi czas na zastanowienie się. Nie dałam się, nasłuchiwałam tylko z zapartym tchem, co się dzieje Heinzem w pokoju obok. No tak, ale wiecie przecież, że ja miałam coś do ukrycia. Drugi z nich zabrał się za szafę z bielizną i ubraniami. Znalazł moją torebkę i zapytał, ile miałam pieniędzy. Nie wiedziałam. Heinz włożył mi tam wcześniej jakąś sumę, żebym nie została bez grosza, jakby po niego przyszli. Ale nie wiedziałam, ile tego było. A oni tymczasem szukają dalej w pokoju. Cała pościel podarta, wszystkie szuflady wywrócone do góry nogami. Heinza

garnitury, płaszcze, wszystkie torby wywrócone na drugą stronę. Łóżka, materace, wszystko pokopane. Ani jednego zakamarka nie zostawili w spokoju. Tak samo w kuchni. W piecu, na piecu, węszyli wszędzie. Przygotowali się na bogaty łów i wzięli ze sobą wszystkie walizy i worki. Pozbyliśmy się wszystkich wartościowych rzeczy. Kosztowny zegar mamy, Anny, mój- wszystko wzięli. W końcu odeszli z łupem. Trzęsłam się tylko ze strachu, czy zostawią mi przynajmniej Heinza. Wszystko inne było w końcu nieważne. Potem przyprowadziliśmy Niklasa. Miał obejrzeć nasze mieszkanie. Powiedział tylko, żebyśmy nie sprząтали, że to rzecz godna zobaczenia. Ta banda miała u nas dobry łów. Wszystko co miało jakąkolwiek wartość, w tym dużo pieniędzy, ile – nawet sama nie wiem, ale mało tego nie było, bo byliśmy przygotowani na wszelki wypadek, itd. Do tego jeszcze Rosenberg z domu towarowego Baltik, wcześniej Schaliński, który uciekł, nakazał pracownikom, że mają utarg dzienny dostarczyć do nas. Te pieniądze też tu były. Później znalazłam w mojej torebce jeszcze 5 marek. To był nasz cały majątek.

Niedługo potem wpadła nagle do nas sprzedawczyni ze sklepu Rabowa, panna Reimer. Prosiła Heinza, aby szybko z nią poszedł, bo Hans Rabow chce odebrać sobie życie, jego żona z nim walczy. Heinz tam poszedł, w międzyczasie uspokoił się już trochę. Tam też ta zgraja była, przeszukiwanie nie była tak straszne jak u nas. Rabow otworzył tylko szafę z pieniędzmi. Tamci bandyci znaleźli wszystko, czego chcieli. Dużo pieniędzy. Na krótko przedtem spłacił ktoś całą hipotekę. Pieniądze, biżuterię, srebrne sztuce. Spakowali tylko to i odeszli, nie szukając dalej. U wszystkich innych Żydów szukali tak samo jak u nas. Również u Tiny Rabow mieli dobry łów. To była państwowa, zorganizowana zgraja rabusiów, która u wszystkich Żydów rabowała wszelkie wartościowe rzeczy.

Dzień przed tym przeszukiwaniem Niemcy ogłosili przez megafon na ulicach: „Oddać wszelką broń!”. Heinz miał jeszcze z pierwszej wojny starą szablę, którą przerobił na narzędzie. Szukaliśmy, ale nie mogliśmy jej znaleźć w całym domu. Całe mieszkanie przeszukaliśmy. Z tego powodu byliśmy tak zdenerwowani i nerwowi, że nie mogliśmy spać. Wstawaliśmy więc na zmianę, raz ja, raz Heinz: „sprawdzałaś tutaj?”, „szukałaś tam?”. Szabla zginęła bez śladu, musiał ją już wcześniej ktoś ukraść. W niedzielę nastąpiły rewizje domów w poszukiwaniu broni. Gdyby ją znaleźli, było by z miejsca po nas. Podczas przeszukiwania trzęśliśmy się ze strachu, że mogą jednak gdzieś znaleźć. Najbardziej bałam się, jak zawsze że wezmą Heinza. Te bestie tak nas wytrąciły z równowagi, że tego w ogóle nie da się opisać. Nerwy Tiny Rabow tego nie wytrzymały - oszalała.

W niedzielę rewizja polityczna: dwóch wyższych oficerów, jeden w cywili (Mielewczyk znad jeziora Raduńskiego, szpieg niemiecki, później rozstrzelany przez Polaków). Węszyli we wszystkich papierach, książkach. Heinz pokazał im gazetę z apelem kochanego papy. Powiedzieli na to: „To były inne czasy!”. (Z pewnością!). Poszli... Znowuż bałam się o Heinza. Strach i emocje były straszne. Heinz był również okropnie przybity. Czyżby przewidywał, że już niedługo będziemy razem? W poniedziałek, 11.09, akurat pakowałam jakieś rzeczy, aby oddać je znajomym. Zadzwonił do mnie Heinz. Po jego głosie poznałam od razu, co się dzieje. Właśnie przyszła po niego jakaś kanalia. Chciałam od razu pójść z nim, ale ta bestia nie chciała mnie zabrać. Wtedy Heinz poprosił mnie, abym zachowywała się rozsądnie i pozostała w domu. Pożegnaliśmy się i już nigdy nie miałam zobaczyć Heinza.

Byłam bezgranicznie zrozpaczona. Niedługo potem przyszła pani Rabow. Tak samo zrozpaczona jak ja.

Również i ona walczyła, aby pójść ze swoim mężem, a tamten również jej nie zabrał. Pani Rabow powiedziała, że mam z miejsca iść do niej i nie siedzieć sama tak w domu, co też i uczyniłam. Wszyscy Żydzi więc, oprócz jednego (Hammera), zostali uwięzieni. Przeczyli go i mógł później pojechać z córką do Łodzi. Ze strachu i przerażenia Hammer spędził całą noc w łóżku. Teraz więc pozostałyśmy, same kobiety, zrozpaczone i upadłe na duchu, nie wiedząc, gdzie przebywali nasi mężczyźni. Mówiono że zakładano ich na samochody i wywieziono. Inni znowuż to widzieli ich w Gdańsku, ale nie wiedzieliśmy nic konkretnego. Wiele osób mnie odwiedziło. Pani Steege przychodziła codziennie. Również Stencłowie, Brzeski, pani Hinz, Plichta itd. Wszyscy znajomi pani Rabow odsunęli się od niej. Pani Rabow płakała i lamentowała każdemu, że przecież jej mąż wszystkim tyle dobrego uczynił. Ja zawsze siedziałam zupełnie cicho, nie musiałam przecież rozgłaszać czynów Heinza wśród naszych znajomych. Potem, gdy byłam już w Gdańsku, opowiadałam Gustawowi Muellerowi (wcześniej z Piły, Kartuz), że do Rabowów ani jedna osoba nie przychodziła. Ten uważał, że Pintusowie żyli z ludźmi, a Rabowowie ponad ludźmi.

Zacząłam więc wyprzedawać nasze ubrania, ponieważ te pięć marek, które znalazłam w mojej torbie, to był teraz nasz cały majątek. Później, jak znowu ruszyła poczta, przysłałaś mi Ty, drogi Paul, od razu pieniądze. Wtedy też chciałam raz pójść do naszego mieszkania. Pani Rabow zaraz ze mną. Przyczepiła się do mnie jak rzep psiego ogona. Za nami szedł jakiś mężczyzna. Chciał rozmawiać z panią Pintus. Zachowywał się tak, jakby nie wierzył mi, czy aby na pewno to ja, dopóki nie pokazałam mu dowodu osobistego. To był Buschmann z Sierakowic, wtedy inspektor na jakimś majątku w Będzieszynie koło Pruszcza. Miał mnie pozdrowić od Heinza. Heinz był tam

ponoć z innymi Żydami przy wykopkach ziemniaków. Miałam przekazać ubrania i jedzenie dla Heinza, on będzie jechał o tej i o tej godzinie i miałam mu wtedy przynieść paczkę do pociągu. W określonym czasie poszłam na pociąg, ale nie można było znaleźć pana Buschmanna. I jak tu teraz przesłać tę paczkę? Poczta nie przyjmowała żadnych przesyłek. Pani Rabow chciała wyjechać do dzieci do Gdańska, nie otrzymała jednak biletu na przejazd koleją z komentarzem, że nawet jakby dostała bilet do Palestyny, odmówili by jej wyjazdu. Ale ja przecież nie mogłam nie spróbować i poszłam sama po bilet. Stała tu kolejka ludzi, jeden za drugim. Wszyscy dostali bilet, a kiedy przyszła kolej na mnie, już ten łobuz wypisywał nazwisko, już podawałam ulicę zamieszkania, a ten przyglądał mi się, jakby nie rozpoznawał mojej wizytówki po moim nosie, zaczął szukać jakiegoś zeszytu. Wtedy wiedziałam już co się święci. Spojrzał do zeszytu i powiedział, że dla mnie nie ma biletu. Na szczęście doszedł Cyrocki (Ty, drogi Paul powinieneś go pamiętać). Dostał bilet i wyprosiłam u niego z pomocą pieniędzy i dobrego słowa, żeby dostarczył paczkę do Heinza, co z resztą uczynił. Heinz ucieszył się bardzo z tych rzeczy i pytał, czy ja nie mogłabym przyjechać. Następnego dnia przyszedł Pan Kreft z magistratu. Jego syn był również w Będzieszynie i właśnie go tam odwiedził. Heinz zauważył go i poprosił, żeby poszedł do mnie i przekazał pozdrowienia. Pożyczył od niego jeszcze 5 marek, które teraz ja miałam oddać. Od tego momentu działaliśmy z Kreftem razem i na zmianę opłacaliśmy podróż, i dlatego też mogłam co tydzień przysyłać Heinzowi dużą paczkę. Ale Heinz się ciągle dopytywał, czy nie mogła bym przyjechać sama do niego i był ponoć bardzo smutny z tego powodu. W międzyczasie Gmina Żydowska w Gdańsku dowiedziała się, że również i wielu gdańskich Żydów znajduje się w Będzieszynie. Pojechali tam

samochodem i zawieźli tam ubrania i inne drogie dary, i co tam jeszcze było potrzebne. Do jednej z wypraw dołączyła się również Erna Rabow, aby odwiedzić Heinza, ale przede wszystkim, aby dowiedzieć się czegoś o swoim ojcu, którego nie było w Będzieszynie. Wiadomo było, że został on w Nowym Porcie, ale nic więcej. A tu pewnego dnia przyjechał Willy Thal, zięć Rabowów. Uspokoił nas, że teraz on pracuje w Gminie Żydowskiej. Że ma duży wpływ na gestapo. Że nasi mężczyźni wnet wrócą do domów. Chciałam mu jeszcze dać gazetę z apelem taty, którą dostałam od Heinza w ostatniej chwili. Brat powiedział mi wtedy, że może się ona udać w jego sprawie. Willy uważał to za niepotrzebne. Powiedział, że Heinz również wkrótce wróci. Kilka dni później zajechał samochód do Rabowów, gdzie właśnie była Justyna. Zjawił się wyższy oficer gestapo w związku z dochodzeniem w sprawie Rabowa. Justyna zapytała się: „A Heinz?” ten odpowiedział, że miał tylko podanie w sprawie Rabowa. Nie mogłam tego pojąć, ale to była prawda. Poszłam do Niemców zasięgnąć informacji na temat Heinza. Powiedzieli, że nie mogą udzielić żadnych informacji, ponieważ nie pytano ich o Heinza. Kilka dni później Rabow wyszedł na wolność, nie przyjechał już jednak do Kartuz, tylko został w Gdańsku u swoich dzieci. Znajomej - pannie Reimer - którą spotkał, w pierwszym radosnym uniesieniu powiedział, że nigdy nie zapomni co zrobił dla niego Heinz w Nowym Porcie. W pierwszych dniach pobytu tam znów chciał sobie odebrać życie, ale Heinz go powstrzymywał, dodawał mu cały czas otuchy i nie odstępował go ani na krok. Potwierdzili to też inni. Dzięki zabiegom Thala w Gminie Żydowskiej w Gdańsku również i pani Rabow dostała bilet kolejowy i pojechała do męża i dzieci do Gdańska. Poprosiłam wówczas Justynę, żeby wybrała się do Gdańska i wypytała Rabowów, jak właściwie wygląda sprawa zwolnienia

Heinza. Powiedzieli, że sama muszę się starać i złożyć podanie na gestapo. Zdenerwowałam się strasznie tą odpowiedzią. Mówi mi coś takiego dopiero po sześciu tygodniach. Zawiadomiłam od razu wszystkie kobiety żydowskie i wszystkie każda w swoim imieniu, złożyłyśmy podania. Poszłam jeszcze do doktora Blocka. (Heinz znał go dobrze - byli razem w Gimnazjum w Bytowie). Doktor był wprawdzie starszy, ale jeszcze się znali. W Chmielnie odwiedzał nas częściej. Wydał opinie lekarską - fizycznie niepełnosprawny itd. Dołączyłam ją do mojego pisma. Doktor zdziwił się bardzo, że nie powiadomiono mnie wcześniej o tym {o procedurze}. W ostatnią niedzielę października wysłałam pannę Reimer z wielką paczką do Heinza. Włożyłam do niej, co tylko się dało zdobyć: masło, jajka, kielbasę itd. Pannę Reimer wyćwiczyłam, że jeśli Heinz pytałby, z czego żyję, ma powiedzieć, że dostałam pieniądze za dzierżawę, co wcale nie było prawda. Heinz spytał się o to od razy. I był bardzo uspokojony i zadowolony, kiedy dziewczyna mu powiedziała, że otrzymała czynsz. To nie była jednak prawda, wszystko przecież natychmiast zarekwirovano. Panna Reimer był tylko zdumiona, skąd wiedziałam, że Heinz się najpierw o to spyta.

Z początkiem listopada Heinza i innych Żydów wywieziono z Będzieszyna, gdzie z resztą miał się ponoć bardzo dobrze. Buschmann odsyłał go ponoć zawsze do łatwych prac kuchennych. Potem przyszła jeszcze jedna kartka pocztowa do Tiny Rabow od Adolfa, który pisał, że Heinz wrócił do Nowego Portu i przywiózł mu ponoć wiele pięknych rzeczy. Dokładnie pisał, że Heinz był takim dobrym człowiekiem, którego tam dokładnie poznał. Heinz pożyczał mu ciągle swój płaszcz i to była ostatnia wiadomość o Heinczu.

Pewnego dnia znajoma przyszła do nas i powiedziała, że w Borkowie jest obóz polskich jeńców wojennych.

Odwiedzała tam swojego męża. Wśród jeńców było też czternastu Żydów. Opowiedziała nam zaraz, że ci żydowscy żołnierze byli w przerażającym stanie. Mundury wisiały na nich w strzępach. My, kobiety, wyszukałyśmy ubrania, skarpety i co tam jeszcze każdy miał, kupiłyśmy żywność, mydło, papier i co tam każda sobie jeszcze wymyśliła, i spakowałyśmy czternaście podobnych paczek. Panna Goldberg i panna Hammer pożyczyły wózek ręczny i udały się z darami do Borkowa. Wieczorem wróciły do domu okropnie zdenerwowane i całkowicie wytracone z równowagi. Chciano je tam od razu zatrzymać, uwięzić, rozstrzelać itd. W każdym razie nie pozwolono im w ogóle rozmawiać z tamtymi Żydami. Tylko jeden pokiwał im z daleka bardzo smutno. Strzępy ubrania wisiały na nim.

Później spotkałam znajomego, który również był w Borkowie, i to on powiedział mi, że krótko po tym, zamordowano tych Żydów w lesie. O tych żydowskich żołnierzach była również mowa w procesie Forstera.

Gdzieś po trzech tygodniach pobytu Niemców w Kartuzach przybyła do Tiny Rabow siostrzenica, córka kuzynki, z mężem i dziesięciomiesięcznym dzieckiem. Musieli opuścić w ciągu czterech godzin Skarszewy i następnie pielgrzymowali pieszo trzy tygodnie do Kartuz. Dziecko było na wpółżywe. Po drodze niektórzy ludzie byli dla nich dobrzy i dawali mleka dla dziecka. Inni nie mieli nic dla nich i rodzina musiała spędzać noce po szopach i stodołach. W każdym razie ucieszyli się, że teraz przynajmniej jest ktoś przy chorej Tinie. Kilka dni później dotarł brat tego młodego człowieka, Saraskewitz, który razem z siostrą szedł ze Skarszew. Po drodze zatrzymali się u znajomych. Siostra pozostała w Starogardzie Gdańskim, a on w okolicy. A tu każą się Żydom w Starogardzie zameldowana dziesiątą w magistracie. Następnego dnia Saraskewitz chciał odebrać siostrę i

wędrować dalej. Ale mieszkańcy powiedzieli mu, że ma sobie obejrzeć kałużę krwi w lesie. Inny Żyd (Diamant?) przyjechał z podróży służbowej do domu i znalazł w mieszkaniu swoje małe dziecko zabite strzałem w głowę. Żona zostawiła je w domu w przekonaniu, że zaraz wróci powrotem. Wszyscy Żydzi ze Starogardu zostali załadowani na ciężarówki, wyładowani w lesie i rozstrzelani karabinami maszynowymi, oraz zakopani na boisku sportowym. Diamant nie znalazł nikogo, żony, pozostałych dzieci, rodziców, rodzeństwa - wszyscy zniknęli. Herr Landrat Jost po tym chwalebnym czynie urządził wielką stypę. Szampan płynął rzeką. O tym też była mowa na procesie Forstera .

Około ośmiu dni później zaaresztowano w Kartuzach obydwu Saraskewitz. Później trzeci brat Saraskewitz, który pracował przy gminie w Berlinie i miał dobre kontakty z Gestapo, szukał swoich braci. Po długim czasie otrzymał informację, że transport więźniów, czterdziestu Polaków i dwóch Żydów, wyjechał z Kartuz i nie dotarł do obozu przejściowego w Nowym Porcie, po drodze zaginął bez wieści.

W międzyczasie próbowałam uratować coś z naszych rzeczy. Niklas był bardzo pomocny. Wkrótce się jednak przekonałam, że on chciał ratować je tylko dla siebie. W tym czasie dostaliśmy wszyscy wiadomość z magistratu, że mamy zapłacić zaległe podatki. Nie zalegaliśmy przecież jednak z podatkami. Kreft z magistratu przekonał mnie, żebym poszła do burmistrza Steege. Ponoć on miał być całkiem rozsądny. To idę do niego i mówię, że ja ponoć nic nie posiadam. Z czego mam w końcu żyć. Na co on mi wtedy zalecił, żebym poszła do urzędu pracy po pracę przy kartoflach, a za podatki zostaną skonfiskowane meble. Wcześniej udało mi się wywieźć przynajmniej antyki: sofę, biurko, stół, książki, dywany do Stencłów do Chmielna. I to są jedyne rzeczy,

które posiadam obecnie. Stół z warsztatu Heinza uratował Niklas (dla siebie). Rabowom i innym Żydom zabrali później meble, u nas spelzło to na niczym.

Zaraz po tym jak Żydzi musieli zamknąć interesy, skonfiskowano oczywiście cały towar. Rabowom zabrano zapasy. Na swój użytek odłożyli kilka bochenków chleba obok reszty mąki - może 30 funtów. Jeden szupo ¹, Willi Maeser, urodzony kartuzjanin, sąsiad Rabowów, zabrał mąkę, a także kilka bochenków. Tak w ogóle Niemcy pokazali teraz swoje prawdziwe oblicze. Kilku z tych, którzy na krótko przed wojną dali drapaką, wróciło teraz powrotem i chodzili wielce ważni. Spotykam Frau Strunkowski (Niemka). Ta mówi do mnie: „Tak, tak, jednym szacunek, innym wesele”. Sklepy wywiesiły plakaty: „Dziękujemy Fuhrerowi - Fuhrerowi niech będą dzięki!”. Przez pierwsze dni dzwoniły kościelne dzwony. Pytamy się, dlaczego. Niemcy odpowiadają: „Na pogrzeb Polski”. Flagi ze swastyką można było zobaczyć w pierwszych dniach też raczej we wszystkich oknach Niemców. W każdym razie Kartuzy obecnie zyskały zupełnie obce oblicze. Wkrótce ze wszystkich sklepów skonfiskowano towary, wszystko wywieziono samochodami, czy to materiały, naczynia, czy też materiały kolonialne - wszystko wyekspediowano. Następnie wprowadzono kartki na ubrania, inne przyszły później. Z targu, który był wcześniej pełen wszelkiej żywności, wnet wszystko zniknęło. Później można było dostać tylko jeszcze coś z warzyw. Odtransportowano także meble Polaków, którzy wcześniej uciekli.

W drugą niedzielę ogłoszono przez megafony, że pan landrat wygłosi na Rynku wielką mowę. Ludzie spieszyli w strugach deszczu bardziej niż na odpust. Landrat Busch

¹ Schupo- skrót od Schutzpolizist – policjant.

wygłosił więc wielką mowę. Tych Pollacken², którzy się nie dostosują, będzie kazał od razu aresztować. Sześciu kazał od razu zastrzelić i podał nazwiska sześciu Polaków. Jakie przestępstwo popełnili? - Byli Polakami!

Następnie stwierdził, że wszystko w Kartuzach pobudowali tylko Niemcy. Niemcy się uśmiechają. Wiadomo było, że jeden róg Rynku zbudował wujek Nathan, a drugą Jakob Abrahamsohn. I cały Plac św. Brunona jest zbudowany przez Żydów.

Ale landrat Busch wiedział lepiej. Następnie orzekł, że tylko ten chlew, synagogę, pobudowali Pollacken!

Ale właśnie ten chlew, synagogę, zbudował Niemiec Knoop. Wtedy o tym nie wiedziałam. Teraz ktoś mi to powiedział. Synagogę wkrótce zburzono, a cmentarz całkowicie zrównano z ziemią. W międzyczasie kontynuowano przeszukiwania domów Żydów. Byłam w tym czasie u Rabowów, a klucze oddałam Niklasowi. Mieszkania Żydów były coraz bardziej puste. Raz nawet wzięli dywan od Tiny Rabow. (Nasz udało mi się wysłać do Chmielna, ma go Regina). W swoim szaleństwie Tina postawiła się, że to jest przecież jej dywan! Została tak uderzona w pierś, że poszybowała przez drzwi do pokoju obok. Młodej kobiecie chcieli zabrać srebrny kubek. Ta prosiła, czy mogli by jej go zostawić, gdyż to prezent od chrzestnych, pamiątka. Dostała wtedy tak po twarzy, że od razu połała się jej krew y ust i z nosa. Parę dni chodziła z opuchniętym policzkiem.

Mnie odwiedziła raz panna Arndt ze Staniszeza, której wcześniej nie znałam. Zaprosiła mnie do siebie. Mieszkała tylko z siostrą, szwagrem i dzieckiem, a ja nie powinnam sama przebywać w Kartuzach. Przyjęłam zaproszenie. Jeśli by mi nie udało się dostać do Gdańska, chciała bym

² Pollacken- pogardliwe określenie na Polaków, w dosł. tłum. Polackowie

pojechać do niej. W międzyczasie inne panie postarały się o przepustki do swoich rodzinnych miejscowości: Warszawy, Łodzi, itd. Każda z nich chciała mnie zabrać ze sobą. Wszystkie miałyby u swoich krewnych miejsce również i dla mnie. Nie miałam jednak w ogóle ochoty z nimi jechać. Cała moja tęsknota skupiła się wokół Gdańska. Ruszyć do Gdańska gdzie był Heinz. Jemu przecież chciałam pomóc i jego ratować.

W międzyczasie rozeszła się plotka, że żydowskie kobiety mają zostać odtransportowane do Lublina. Pojedyncze panie, które wcześniej dostały swoje papiery, odjechały do swoich rodzinnych miast. Na wschód były przepustki, ale nie do Gdańska. Nagle rozeszła się plotka: pierwsza grupa SS przyjeżdża do Kartuz, mam zniknąć na kilka dni, aż ta banda ostudzi swoje popędy. Pewnego razu szłam do naszego mieszkania, a tu przychodzi Ansel Serotzki i opowiada, że właśnie przyjechała kolejną bojówką SS. Ich pierwsze pytanie brzmiało, czy w Kartuzach są jeszcze Żydzi, jeśli tak, to chętnie zrobią z nimi porządek. Ledwo to usłyszałam, chwilę potem zniknęłam u Justyny. Ta najpierw chciała mnie wysłać do swojej kuzynki do Grzybna, ale potem przetrzymała mnie siebie. Justyna ukryła mnie wpierw w piwnicy, a późnym wieczorem, kiedy powietrze było czyste, u siebie w mieszkaniu. Akurat mieszkała wtedy u wyjątkowo zaciekłych nazistów Modrzewskich. Była bardzo ostrożna i mogłam u niej zniknąć nie zauważona przez tę zgraję. Tak więc podczas dnia ukrywałam się u niej. W ciągu dnia, kiedy ona była w sklepie, w ogóle się nie poruszałam, aby ci na dole nie usłyszeli, że jeszcze ktoś jest w mieszkaniu. Kiedy przychodziły Justyny wnuki zamykała mnie w pokoju. Dzieci pytały się, dlaczego babcia zamyka zawsze ten pokój. O SS nikt więcej nie słyszał. Kilka żydowskich kobiet znów wyjechało na wschód. U Justyny nie mogłam przecież tak dalek siedzieć. Chciałam zdać mieszkanie, bo

z czego miałam płacić jeszcze czynsz. Ale cały czas zastanawiałam się, jak mogła bym dostać się do Gdańska, o Heinzu żadnej wiadomości. Rozmawiała z Rabowami o tym, że jeśli nawet uda mi się przyjechać do Gdańska, to gdzie mogłabym wtedy mieszkać. Na to pani Rabow i Erna zawołały jednym głosem: „U nas nie!”. Erna miała mieszkanie trzypokojowe, w jadalni kanapę. Rozmawiałam raz Ruth Saraskewitz u Tiny Rabow. Powiedziała, że znajdę dach nad głową u jej matki, którą kiedyś poznałam u Tiny.

A tu słyszymy, że w punkcie wydawania przepustek zatrudniono Guenthera Sakolowski (Niemiec). Justyna dobrze się z nim знаła. Dlatego tam u niego mieszkała. A i myśmy się dobrze znali z nim z Chmielna. Właśnie ten Guenther przynosił często do Heinza do naprawy rzeczy, które zupełnie nie leżały w profesji zegarmistrza. Justyna poszła więc wieczorem do Sakolowskiego, aby porozmawiać w sprawie przepustki dla mnie.

Idąc tam, była całkiem dobrej myśli, a wróciła zanosząc się płaczem. Ten łajdak zwymyślał ją i nawrzeszczał, jak ona jeszcze śmie wstawiać się za Żydami. Ta „Żydowa Rabow” już mu związała, a teraz Justyna chce mi jeszcze pomóc, tego już za wiele. Miałam być odtransportowana do Lublina. (Guenther Sakolowski, który jeszcze więcej miał na sumieniu, został później złapany przez Polaków i zmarł w więzieniu w Kartuzach).

Chciałam jednak jeszcze spróbować ostatni raz. Jeśliby mi się nie poszczęściło, zamierzałam od razu udać się do Staniszewa. Tego ranka przed ósmą rano wyszłam z mojej kryjówki u Justyny na światło dzienne. Jako pierwszego spotkałam na rynku Wernera Brandta z browaru przyklasztornego, znanego powszechnie jako nazistę. Żyliśmy jednak ze sobą na bardzo dobrej stopie. No, myślę sobie, czy ten mnie jeszcze zna? On przystaje, pozdrawia mnie, pyta o Heinza i mówi następnie, że mam

tak szybko, jak to jest tylko możliwe zniknąć z Kartuz. Najlepiej do Gdańska, bo inaczej wywożą mnie do Lublina. Ja na to: „Łatwo się mówi, ale ja nie mogę dostać przepustki!”. No, tak – powiedział. Mam robić w każdym razie wszystko, żeby wkrótce zniknąć.

Więc zaczęłam się starać o kosze i skrzynki. Udało mi się do zanieść do Niklasa, aby potem spakować resztę naszych rzeczy i zdać mieszkanie. Później poszłam do doktora Blocka. Było jeszcze wcześniej, gdyż zjawiłam się w poczekalni pierwsza. Doktor przywitał się ze mną i od razu zapytał o Heinza .

Powiedziała mu, że odczuwam bardzo duży ból w nogach. Bardzo nad tym ubolewał. Wtedy zapytałam, czy mogę mu zaufać i powiedzieć prawdę. – Ależ dziecko-odpowiedział, mając na myśli, że jemu mogę zwierzyć wszystko. Wtedy przyznałam się, że chciałam pojechać do Gdańska, aby ratować Heinza, ale nie udaje mi się dostać przepustki. Czy nie mógłby mi wystawić opinii lekarskiej, że koniecznie muszę się poddać opiece specjalistycznej. On wypisał mi opinię, że z powodu bólu koniecznie, co najmniej na 8 dni, muszę się poddać leczeniu specjalistycznemu. Ja na to, co to jest 8 dni. Wtedy on wypisał nową opinie na co najmniej 4 do 6 tygodni. Doktor to bardzo zręcznie sformułował. Następnie poszłam do punktu wydawania przepustek. Siedział tam Guenter Sakolowski. No tak, pomyślałam sobie, on mi teraz wszystko popsuje. Przedemną stała długa kolejka ludzi, chyba ze 30 osób. Kiedy przysła moja kolej, dowiedziałam się, że to nie leży w gestii Guenthera, że muszę pójść z tym dokumentem do landrata. Tam również było wielu ludzi. Gdy wreszcie weszłam do środka, landrat skierował mnie do burmistrza, gdzie także zebrało się wielu ludzi. Burmistrz rozpoznał mnie od razu, bo przecież byłam u niego w związku z podatkami, i powiedział, że z pewnością chcę z powrotem pieniądze. Ja

szybko zaprzeczyłam: „Nie! Proszę tylko o pozwolenie na wyjazd, to już zapłacą Żydzi w Gdańsku!”. Wtedy napisał na odwrotnej stronie opinii: „W kwestii wyjazdu nie ma zastrzeżeń”. Z tym papierem poszłam do pierwszego punktu, gdzie znowu stało wielu ludzi, wszyscy dostali papiery. Znowu odesłali mnie do landrata. Po długim staniu w ogonku łaskawie odcisnął swoją pieczęć i w ten sposób dostałam przepustkę. Przepustkę wpierw chciano wystawić na 8 dni, prosiłam o dłuższy termin, że przecież jestem ciężko chora i nie mogę jeździć w tę i z powrotem. Wtedy wystawiono mi dokumenty na 4 tygodnie. W końcu miałam na całe szczęście tę swoją przepustkę, a biegałam w tę i z powrotem od ósmej rano do drugiej po południu. Pełna radości poszłam do Justyny wszystko jej opowiedzieć. Potem na dół do Niklasa, aby spakować nasze rzeczy i zdać mieszkanie. Niklas mnie zauważył - bardzo zdenerwowany powiedział, że na miłość Boską, mam szybko zniknąć! Przed pięcioma minutami była w moim domu policja, szukają mnie, chcą mnie zaaresztować. To był lodowaty prysznic na moją radość. Mieszkanie skonfiskowano i zabezpieczono ze wszystkim wewnątrz. Zaoszczędzonymi roboty z pakowaniem. Niklas chciał jeszcze uratować mi (albo sobie?) łóżko, wtedy powiedziano mu: „Powiedzcie tej Żydówce, że ma się położyć na d... i przykryć nogami!”.

Znowuż musiałam się prześlizgnąć w górę ulicy Gdańskiej do Justyny. Ta schowała mnie w piwnicy i poszła się wywiedzieć, kiedy odchodzi następny pociąg do Gdańska. O piątej po południu. Starła się jeszcze o żywność i zaprowadziła mnie na pociąg. Byłam tak podenerwowana, że gdy słyszałam kroki za sobą, myślałam, że ktoś mnie śledzi i chce mnie zaaresztować. Przychodzimy na pociąg, owszem, odjeżdża ale tylko dla żołnierzy. Następny pociąg rano o szóstej. Kolejna noc pełna udreki. Cały czas myślałam, że złapią mnie w

ostatniej chwili. Wsiadłam do pociągu, a tu właśnie naprzeciwko mnie usiadł ojciec Guentera. Udawałam, że śpię, a odetchnęłam dopiero, gdy szczęśliwie wysiadłam w Gdańsku. To było 22 listopada 1939 roku.

No i byłam w Gdańsku. Martwiłam się, czy znajdę dach nad głową. Od razu poszłam do kuzynki Tiny, pani Lewi, na ulicę Stolarską i otrzymałam u niej schronienie. Potem poszłam do państwa Rabow. Paczek, które wysyłałam do Heinza, nie przekazali dalej. Paczki te zostały odebrane. Byli bardzo zdziwieni, że tak szybko znalazłam schronienie. Teraz pojechałam najpierw do Nowego Portu zawieść paczki dla Heinza. Wcześniej wystarałam się o papierosy, z którymi w tedy było kiepsko. Zamierzałam je przekazać straży, niby dla Heinza (ale wiedziałam, że papierosy są zabronione). Chciałam się tylko z nimi zaprzyjaźnić, żeby pomóc Heinzowi. Kiedy strażnik powiedział mi, że papierosy są zabronione, udawałam, że bardzo się dziwię. Udawałam, że ponieważ nie palę, nie mam co z nimi zrobić, więc czy nie chciałby ich zatrzymać. Później zrobiłam tak jeszcze kilka razy. Ta hołota utrzymywała zawsze, że Heinz tam jeszcze jest. Inny dodał, że tak długo, jak on tu jest, nie odszedł żaden transport. Inny znów powiedział, że powinnam pójść do komendantury, tam otrzymam informacje. Poszłam tam, ten przerzuca kartki w kartotece, ale zaraz spostrzegłam, że udaje. Heinza ponoć tam nie ma, on nie wie, gdzie jest, mam przyjść się spytać jeszcze raz za osiem dni. Szłam z powrotem wolno, bardzo wyczerpana, wzdłuż całego podwórza więziennego. Kilku więźniów zamiatało podwórze. Strażnik stał po drugiej stronie. Jeden z więźniów zbliżył się do mnie, zamiatając bardzo szybko. Zagadnął mnie cicho po polsku, zaznaczając, że nie mam się odwracać. Okazało się, że to był Kundel z Kartuz. Powiedział mi, że Heinza tam nie ma. Żydów i duchownych katolickich

wywieziono razem przed trzema tygodniami. Muszę jeszcze zaznaczyć, że wcześniej, kiedy mi strażnicy powtarzali, że Heinz tam jest, jeździłam dwa razy w tygodniu, żeby dać paczkę dla Heinza. Później zapoznałam się z innymi paniami żydowskimi i jeździłyśmy razem. W grudniu wyjeżdżałyśmy bardzo wcześnie, aby być już w trakcie otwarcia bramy. Kazano nam stać w najgorszym chłodzie godzinami. Zima 1939/1940 była przecież wyjątkowo chłodna. Więzienie leżało na wzniesieniu w szczerym polu. To, że nie nabawiłam się zapalenia płuc, to więcej niż prawdziwy cud. A więc dostałam wiadomość, że Heinza tam nie ma.

Zostałam tam zupełnie sama, obca. Również w Gminie Żydowskiej byłam całkiem obca. Byłam zupełnie załamana, nie miałam nikogo, kto mógłby mi poradzić albo pomóc. Wtedy spotkałam raz panią Dyck. Jej rodzina była kiedyś w Kartuzach na lotnisku i wtedy się poznaliśmy. Zaprosiła mnie w odwiedziny do siebie. Poskarżyłam się, że nie mogę się dowiedzieć niczego o Heinzu, którego też ona знаła i że jestem taka samotna. Wtedy pan Dyck mówi, że ma dobrego znajomego w gminie. Napisał list, w którym prosił o zajęcie się moją sprawą, ponieważ jestem zupełnie sama. Do tego pana poszłam z listem. Był on z resztą wobec mnie bardzo miły. Opowiedziałam mu, że byłam na komendanturze i że kazano mi przyjść w następnych dniach. A on mnie ostrzegł (niestety, zapomniałam jego nazwiska, a wkrótce wyjechał), że nie ma tam chodzić, oni nie udzielają żadnych informacji gminie i z pewnością i mi nie powiedzą prawdy. Radził mi usilnie, abym już nigdy tam nie szła. Heinzowi już nie mogę pomóc, ale z pewnością mogę siebie narazić na niebezpieczeństwo. Ostrzeżenie przyszło prawdopodobnie w samą porę. Później usłyszała, że niechcianych pytających po prostu zatrzymywano. Na początku poszłam jeszcze do przełożonego gminy Janasa.

Spytałam się, czy gmina nie może czegoś uczynić dla uwięzionych. Dał mi taka odpowiedź: „Gestapo obiecuje mi wszystko- niczego jednakże nie otrzymuję”. Kiedy już nic nie mogłam zrobić dla Heinza, chciałam pojechać do Was, do Berlina. Wyobrażałam sobie, że jeśli już jestem w Gdańsku, mogę i dotrzeć dalej, do Berlina. Ten pan powiedział mi jednak, że wprawdzie muszę mieć pozwolenie z Berlina na wjazd. Poszłam do Janasa, który złożył wniosek. W międzyczasie upłynął okres ważności mojej przepustki, trzeba było ją przedłużyć. I co teraz? Wracać do Kartuz? Od razu by mnie zatrzymano. Akurat usłyszałam, że Arendów ze Staniszewa zaaresztowano dwa dni po moim wyjeździe z Kartuz. Zginęli z miejsca bez wieści. W ten sposób opinia doktora Blocka uratowała mnie w ostatniej chwili od drugiego więzienia. Teraz poszłam do Gminy Żydowskiej do doktora Jakobowskiego. Prosiłam go o wystawienie opinii, że jestem chora i opowiedziałam mu, jak się rzecz ma. W rzeczywistości byłam bardzo przeziębiona po tych wyjazdach do Nowego Portu. Dał mi opinię, radząc, abym posiedziała w domu. Wysłałam moją przepustkę z opinią do Kartuz i poprosiłam o przedłużenie. Dostałam przedłużenie na osiem dni. W międzyczasie chciałam się zameldować w Gdańsku. Nasz posterunek policji był przy Targu Rybnym. Ostrzeżono mnie, że mojego meldunku i tak przyjmą i że nie mam się przestraszyć, jeśli na mnie nawrzeszczą. Z mieszanymi uczuciami jednak tam poszłam. Z daleka zobaczyłam starszego urzędnika. Nie, myślę sobie, ten nie może być taki zły. Podałam mu meldunek, a on zaczyna na mnie wrzeszczeć, że od razu zmysły odmówiły mi posłuszeństwa. Darł papiery, wyzywał i rzucał się, waląc pięścią w stół: „Wy kundle żydowskie! Polska zgraja! Wynocha do Palestyny! Tutaj was nie potrzebujemy!”. Poszłam sobie, nie wiem w ogóle, jak mi się udało stamtąd wydostać. Wiem tylko, że stałam

na środku ulicy, nie mogąc złapać tchu. Kilka dni później przysłała policja sprawdzić moją przepustkę i dowód. Co teraz? Znowu poszłam do znajomego Dycka. Powiedział mi, że muszę mieć pozwolenie na pobyt. Wysłał mnie do radcy prawnego Eisenstaedta, który również prowadził praktykę. Pochodził z Pucka i znał całą naszą rodzinę. Przedstawiłam mu moją sprawę. A on na to, że muszę wrócić do Kartuz, jeśli tutaj nie dostanę meldunku. Ogarnęła mnie od razu złość i spytałam, czy jego rodzice, również wypędzenie z Pucka, mogli by tam wrócić. Wtedy wystawił mi wniosek o pozwolenie na pobyt. Z tym miałam pójść do prezydium policji. Uspokojono mnie od razu, że jest tam bardzo przyzwoity pan i tak też z resztą było. Przeczytał wniosek i od razu powiedział, że nie mogę już przecież wrócić do Kartuz. Wtedy powiedziałam mu, że nie dostałam meldunku na Targu Rybnym. Na to on, że jeśli będą jakieś trudności, to mam się zwrócić do niego. W sprawie pozwolenia na pobyt otrzymam później decyzję. Jednak ta nigdy nie nadeszła. W międzyczasie upłynęło również te osiem dni przedłużenia przepustki. Złożyłam jeszcze jeden wniosek. Prosiłam jeszcze raz o prolongatę przepustki z powodu choroby. Niestety, moja przepustka została zatrzymana, a ja otrzymałam odpowiedź, że Kartuzy nie są już moim miejscem zamieszkania, w związku z czym nie przynależę do ich rejonu. No i zrobiło się jeszcze gorzej, ponieważ, nie miałam już nawet przepustki, choćby nieważnej. W następnych dniach poszłam do biura, gdzie Jonas mi powiedział, że Berlin odmówił mi prawa do wjazdu. Jeszcze to! Za każdym razem, kiedy jakiś szupo szedł w stronę bramy, gdzie mieszkała pani Lewi, przesywał mnie dreszcz. Co się teraz stanie? To był straszny stan. Ponieważ nie otrzymałam w dalszym ciągu odpowiedzi z prezydium policji, poszłam jeszcze raz do tego mężczyzny z pytaniem, gdzie jeszcze mogłabym się

zwrócić w sprawie zezwolenia. Odradził mi. Ewentualnie mogłabym otrzymać odmowę, a wówczas dopiero zrobiliby się niebezpiecznie.

Rabowowie mieli wszystko. Pozwolenie na pobyt, paszport bezpieczeństwa, którego również nie dostałam. Gdyby rabin dr Weiss był jeszcze w Gdańsku, wiem, że wstawiłby się z pewnością w mojej sprawie, ale tak nie miałam tu żadnego znajomego. W tym miejscu chciałabym się cofnąć w czasie i opisać moje życie u pani Lewi. Ona mnie od razu przyjęła. Miała bardzo duży pokój, który zamieszkiwała razem ze starszym synem swojej córki. Obydwa pozostałe pokoje wynajmowała także Żydom. Po ośmiu dniach mojego pobytu u niej przyjechała córka z Kartuz z małym dzieckiem. Kiedy już wszyscy Żydzi wyjechali z Kartuz, również i ona dostała przepustkę do Gdańska, gdzie wcześniej zamieszkiwała. Jednocześnie wydano ją również i Tinie Rabow. Ale Tiny nie można był ruszyć w żaden sposób. Chcąc ratować siebie i dziecko, Ruth musiała zostawić chorą. Życie u pani Lewi było wprost trudne do opisanie. Matka z córką nie znosiły się - głównie chodziło o starszego chłopca, który wtedy miał 5 lat. Babcia bezgranicznie rozpieściła tego łobuza, przez co tyranizował cały dom. Babcia przyglądała się spokojnie, kiedy zamęczał albo bił młodszego brata. Własna matka nie miała prawa go tknąć. Położyć się nie mogłam wcale. Mydło, atrament czy pastę do butów- wszystko musiałam zamykać w kufrze, w przeciwnym razie by zniknęło. Posunęłabym się za daleko, gdybym chciała wzmiankować dalsze szczegóły. W każdym razie pani Lewi była znana jako ta starsza dama z niewychowanym chłopcem. Sprzedawała rzeczy i meble, a potem szła do domów towarowych, aby kupować zabawki. Pozwalała mu wybierać te najlepsze i najlepsze.

Takie było więc to moje schronienie. Czułam się tam strasznie nie szczęśliwa. Rano przyrządzałam sobie kawę i

zaraz wyruszałam na miasto, aby tylko stamtąd wyjść. Ale gdzie miałam się podziać? Nie miałam przecież żadnych znajomych wśród Żydów. Wilhelm Berends w tym czasie w Lugano, Gustaw Rabow zmarł. Chodziłam po ulicach bez celu. Wchodziłam do domów towarowych i przeglądałam sobie katalogi z moda, nie mając o tym pojęcia. Szłam do poczekalni. Krótka mówiąc, było to straszne – nie wiedziałam jak mam zabić czas. Do tego dochodzi moja wielka obawa o Heinza. Męczyłam się z powodu braku zameldowania, braku kartek, braku zezwolenia na pobyt. Byłam zrozpaczona i zniechęcona. Żywność przywozili mi na zmianę Stęclowie lub Justyna. Justyna odwiedziła mnie raz - była przerażona: „Mój Boże, gdzie pani trafiła!”. Spotkała Rabowów i opowiedziała im, w jakim nie do zniesienia miejscu znalazłam schronienie. (...).

Źródło:

E. Pintus, *Moje wspomnienia. Meine wahre Erlebnisse*. Gdańsk 2005, s. 85 - 103.